BOMBKA SZCZĘŚCIA - wersja pisana - tekst

Ida:
Czasami zamykałam oczy i przypominał mi się jego dotyk. Pamiętałam ciepło jego rąk i uśmiech na twarzy. I byłam zła na siebie, że nie pamiętam więcej. Strasznie się złościłam, kiedy miałam sen o tacie i się budziłam. Chciałam wrócić do tego snu. Zamykałam oczy i chciałam wrócić, po prostu znowu zasnąć. Prosiłam: „Jeszcze chwileczkę, jeszcze troszeczkę, chcę wrócić, proszę”. Pamiętam po prostu takie chwile, takie szczegóły. Momenty, które zostają w sercu na zawsze. Na zawsze.

Miałam chyba cztery czy pięć lat, kiedy moja mama mnie wyciągnęła, po prostu wyrwała z objęć mojego taty. Był wtedy jakiś inny mężczyzna, do którego musiałam się zwracać z takim szacunkiem jak do taty i mówić do niego „tato”. Ale mówiłam mu „Ja już mam tatę i nie mogę tak do ciebie mówić”. Był strasznie zły. „Od dzisiaj je jestem twoim tatą i wymagam, żebyś mnie tak nazywała”. Kiedy nie pomagały słowa, bili. Kiedy chodziłam do szkoły, bili za to, że nie miałam najlepszych ocen. Miałam dobre, ale musiałam mieć najlepsze, musiałam być numerem jeden. Wychowywali mnie na perfekcjonistkę, wszystko musiało być absolutnie doskonałe. Kiedy nie było doskonałe, dostawałam lanie. Za co? Za to, że zostawiłam ubranie na szafie, a nie włożyłam do szafy, za to, że przyszłam ze szkoły pięć minut później, za to, że kupiłam sobie czekoladę bez pytania – jeden raz. Po prostu za wszystko. Najwięcej dostawałam za to, że mówiłam o tacie. Najbardziej, kiedy mówiłam, że znajdę tatę, że wierzę, że on przyjdzie i mnie zabierze, że mi pomoże. To było dla nich najgorsze, rozpalało w nich ogień…

Najgorszy był stres psychiczny. Do fizycznego bólu można się przyzwyczaić. I się przyzwyczaiłam – im było go więcej, tym bardziej się przyzwyczajałam. Ale nie mogłam się przyzwyczaić do tego stresu, do oczekiwania, kiedy to nastąpi, czy będę na tyle szybka, żeby się zasłonić, czy mnie uderzy jeden raz czy dwa, czy mi rozbije nos, czy krew będzie z nosa ciekła. W szkole nauczyłam się zapominać o tym i bawiłam się z dziećmi, ale kiedy szkoła się kończyła i musiałam wracać do domu… Im byłam bliżej, tym bardziej się bałam. To było straszne, byłam gotowa zrobić cokolwiek, byle tylko nie wracać do domu. Cokolwiek. Już jako dziecko. Jak ma się osiem lat, myśli się o tym, żeby przyjść do domu, zrzucić plecak i uciec na zewnątrz, żeby się bawić. Ja myślałam, co zrobić, żeby nie wrócić do domu. A jak wrócę, co zrobić, żeby się z nim nie spotkać, kiedy przyjdzie z pracy. Jeszcze dwa lata temu miałam taki odruch, że zawsze, kiedy ktoś podnosił rękę, kryłam się, jak przed kimś, kto chce uderzyć.

Gdy byłam większa, zaczęłam uciekać do mojego dziadka, który mieszkał niedaleko naszego domu. Uciekłam kiedyś w nocy, w koszulce, w zimie, w śniegu, przez okno, bo mój ojczym powiedział, że jutro, jak się obudzi – bo było już późno, kiedy wrócił – będziemy rozmawiać o mojej karze. Które dziecko czeka na karę? Nie jestem głupia, nie? W koszulce wyszłam przez okno, bo mieszkaliśmy na pierwszym piętrze. I w śniegu szłam do dziadka, bo u niego mogłam się schować. Ale kiedy miałam dwanaście lat, dziadka już nie było. Moja mama zadzwoniła do mnie – nie mogę zapomnieć tej chwili – i powiedziała „Dziadka już nie ma, teraz nie masz się gdzie ukrywać”. I pamiętam bardzo dobrze, że jej odpowiedziałam „Jak będzie trzeba się ukryć, to się ukryję tak, że nigdy mnie nie znajdziecie”. I płakałam, rzuciłam słuchawkę i płakałam, bo dziadek był moją nadzieją, wiedziałam, że jak jest źle, mogę pójść do niego. Dziadek mnie kochał, głaskał mnie po głowie i mówił, że będzie dobrze. Czasami mówił o tacie, malutko, ale mówił. Mówił, że mój tato bardzo mnie kochał, że on nigdy nie

widział ojca, który by tak kochał. I kiedy tak mówił, czułam, że on też musiał go kochać, bo jeśli tak pięknie o kimś mówisz, to... Wtedy wiedziałam, że to, co mówi moja mama, to nieprawda, że to nie było tak, jak ona opowiadała.

W szkole szukałam pomocy i rozmawiałam z nauczycielami, bo często nie mogłam nawet usiąść. Moja nauczycielka powiedziała „Wyjdź z klasy i pokaż mi się". A dopiero kiedy jej pokazałam ślady pobicia, stwierdziła, że to straszne i że będzie rozmawiać z rodzicami. Ale ja w tym momencie pomyślałam, że to będzie jeszcze straszniejsze i prosiłam, żeby z nimi nie rozmawiała. Powiedziała, że musi to zrobić, że tak będzie lepiej, że wtedy to się zmieni. Ale nic się nie zmieniło – było strasznie, strasznie, strasznie... Pamiętam, że on mnie uderzył i rozbiło się szkło. Ciekła mi krew z nosa, a moja mama krzyczała, że dobrze mi tak. I czułam, że muszę to skończyć w jakiś sposób, muszę skończyć tę relację. Miałam dwanaście lat i poszłam kupić trutkę na myszy, dużą ilość. Zmieszałam to z jego jedzeniem, ale nic się nie stało. Chyba źle się czuł, miał gorączkę, wymiotował – tak się skończyło.

Kiedy miałam piętnaście lat, była jakaś taka sytuacja – nie pamiętam, co to było – ojczym wszedł do kuchni i chciał mnie po prostu uderzyć. A ja patrzyłam na niego mocno, prosto w jego oczy, i mówiłam: „Uderz mnie, uderz". Wzięłam do ręki nóż, położyłam go na swoim brzuchu i powiedziałam: „Jeszcze jeden krok, jeden twój ruch i wbiję to w siebie". Wtedy on się zatrzymał, czuł, że to jest moja decyzja, że jestem w tym szczera. A potem płakałam, zawsze płakałam, wołałam do taty, żeby przyszedł. Zawsze miałam nadzieję, że zadzwoni do drzwi, że usłyszę jak on puka, a ja otworzę, wpadnę mu w ramiona i powiem: „O, tato, jak mi cię brakowało, czekałam na ciebie cały ten czas. Tato, proszę cię, zabierz mnie stąd, wyjedźmy". Każdego dnia miałam gotową torbę, każdego dnia miałam wszystko przygotowane na jego przyjście. Każdego dnia wierzyłam, że on przyjdzie. Minęło dziesięć lat, ja miałam już piętnaście. Zawsze ufałam, dzieci mają taką ufność. Naprawdę w tym byłam bardzo dziecinna. Zawsze miałam nadzieję, że on przyjdzie. Moja mama śmiała się z tego, mówiła, że minęło już dziesięć lat, więc on pewnie nie żyje, już go nie ma, bo tato był chory na nerki. Ale ja ufałam, wiedziałam, czekałam każdego dnia z tą torbą. Czekałam, że on zadzwoni do mnie i zabierze mnie z tego domu, z tego piekła i już nie będzie bólu, już nie będzie strachu w moim życiu, nie będę się bać, zrobię sobie normalnie śniadanie i przeżyję normalnie dzień, i nikt nie będzie mnie bił.

Pewnego dnia moja mama powiedziała, że idziemy do psychologa, bo mam piętnaście lat i muszę podjąć decyzję o wyborze następnej szkoły, zrobią mi więc testy sprawdzające w czym jestem najlepsza. Bardzo mocno wierzyłam mojej mamie, wiedziałam jak ważna jest dla niej szkoła, praca, kariera, bo ona robiła karierę, zawsze studiowała, nigdy nie miała czasu rozmawiać ze mną. Poszłyśmy do tego lekarza. Powiedziałam: „Mamo, przecież to jest szpital psychiatryczny". Znałam to miejsce, bo czasami przejeżdżałam obok niego z innymi dziećmi i śmialiśmy się, że tam są szaleni. Ona powiedziała: „Nie przejmuj się, mam tam przyjaciela, bardzo dobrego, wszystko będzie dobrze. Potem pójdziesz do szkoły, tak jak ci obiecałam". Dlaczego miałam nie wierzyć mojej mamie? I weszłyśmy tam. To było straszne. Straszne. Przyszło dwóch mężczyzn z białych fartuchach, odciągnęli mnie od mamy, a ona stała tam, jak drzewo, jakby była martwa w tej chwili i nic nie zrobiła, nic. Krzyczałam: „Mamo, proszę cię, weź mnie z sobą. Co się dzieje, gdzie oni mnie ciągną? Mamo, ja się boję, strasznie się boję. Pomóż mi, nie dopuść do tego". Ale widziałam, jak ona stoi i nic nie robi. Łzy ciekły jej po twarzy, ale nic nie zrobiła. Ufałam, że to jest przecież moja mama, że ona nigdy nie dopuści do czegoś takiego, że mi pomoże w takich momentach życia.

Zabrali mnie na najgorszy oddział. Mama – potem mi to powiedziała – zrobiła to wszystko, żeby mnie wystraszyć. Żeby mi pokazać, że to oni są mocni, oni będą decydować o moim życiu, a ja muszę się podporządkować, a jak się nie podporządkuję, to skończę tam. To było straszne. Zamknęli mnie w ciemnym pokoju i przywiązali do łóżka tak, że nie mogłam się ruszać. Byli strasznie źli. Dzięki Bogu, nie dawali mi żadnych lekarstw ani nie stosowali wstrząsów elektrycznych. Nic takiego, co tam widziałam. Ale bałam się. To wracało do mnie całe życie. Strach stał się moim przyjacielem. Przyzwyczaiłam się do niego.

W dniu moich osiemnastych urodzin odeszłam z domu. Miałam urodziny, zrobiłam tort, wszystko przygotowałam. Mama zawsze popychała mnie w kierunku mojego ojczyma, mówiąc: „Obudź go, on się z tego ucieszy, przytul się do niego, ucieszy się, idź za nim, ucieszy się". Zawsze mnie do tego zmuszała. Robiłam to, ale to było straszne, nienawidziłam tych chwil. Wtedy powiedziała: „Idź do pokoju, on się ucieszy, będziemy świętować twoje urodziny". Ale w telewizji był mecz, a ja powiedziałam, żebyśmy się spieszyli, bo czekają na mnie przyjaciele. On tylko powiedział: „Jak ty możesz się tak do mnie zwracać? Nie wyjdziesz, twoje urodziny nie są dla mnie ważne" i wyrzucił tort. A ja dziękowałam za to, bo potrzebowałam takiego momentu, aby podjąć decyzję, żeby odejść na zawsze z tego domu. I tak zrobiłam – następnego dnia odeszłam. Oni poszli do pracy, nic nie wiedzieli. Zostawiłam list, żeby mnie nie szukali, bo mnie nie znajdą. Nie znajdą mnie nigdy, nigdy więcej.

Pojechałam do Włoch. Poznałam tam koleżankę, ale nie było tak, jak ona mówiła. To nie była praca, o której ona mi opowiadała. Zaczęłam po prostu zarabiać na ulicy. Byłam piękną, szczupłą kobietą, blondynką, więc zarabiałam pieniądze na ulicy. Potem poznałam chłopaka, w którym się zakochałam. Po sześciu miesiącach dowiedziałam się, że on jest narkomanem. Zabrał mi paszport. Nie chciałam już więcej tego robić, płakałam i krzyczałam, ale mówił, że jestem nikim, że jak mi coś zrobi, to nikt mnie nigdy nie znajdzie, a jak znajdzie, to nie będzie wiedzieć kim jestem. I robiłam to. Zarabiałam dużo, bo byłam piękną kobietą, ale wszystkie pieniądze szły na narkotyki. Byłam gotowa zrobić wszystko dla odrobiny miłości, spokoju. On mnie kochał, przytulał i to było dla mnie ważne, z moim ciałem można było zrobić wszystko.

Kiedyś ten chłopak wstrzyknął mi heroinę. Bardzo szybko się uzależniłam. Bardzo szybko poznał, że nie boję się bólu, bo byłam bita przez całe życie, więc też bił… To było straszne. Wiedział, że nie mogę sobie sama wstrzykiwać, więc przygotował heroinę na łyżeczce, dał mi strzykawkę i powiedział: „Jak będziesz mądra i wrócisz do dobrych decyzji, to ci to dam". I odszedł. Wzięłam strzykawkę i wbijałam we wszystkie miejsca mojego ciała. Nie potrafiłam. Wbijałam w szyję, w ręce, pod kolana, w stopy. I wiedziałam, że mam tylko tę jedną działkę, nie mogę popełnić błędu i nie wiem, kiedy on wróci. Czułam taki ból w środku… to było straszne, płakałam i krzyczałam. W takim momencie jest się szalonym, ma się chęć zabić, zamordować, taką ma się w sobie złość. Kiedy wiesz, że to jest jedyne, co masz. Jakbym miała więcej, możliwe, że moja reakcja byłaby inna. Zrobił tak jeden raz i ja wiedziałam, że muszę być uległa. Ale to był też moment, kiedy uświadomiłam sobie, że muszę z tym skończyć.

Pierwszy raz zadzwoniłam do mojej mamy z Włoch rok po tym, jak odeszłam z domu. Przez ten czas ona dziesięć razy była w szpitalu, wpadła w depresję. Ojczym powiedział mi przez telefon, że mnie zabije, jak mnie spotka, ponieważ jestem powodem choroby mamy. Bo ona każdej nocy – cały rok – czekała przy oknie, czy przyjdę.

Zaczęłam pracować jako modelka, miałam ładną figurę, byłam piękna, więc we Włoszech miałam otwarte drzwi. Zarabiałam dużo i zaczęłam obracać się w klasie wyższej, w innej społeczności. Przebywałam wśród ludzi, którzy więcej zarabiali – nie znaczy to, że byli lepsi, ale inni. Poznałam wtedy ojca dwojga moich dzieci. Zakochaliśmy się w sobie, tak zwyczajnie, jak w normalnym życiu. Bardzo się cieszyłam, kiedy zaszłam w ciążę, nie mogłam się wręcz doczekać tego dziecka. Wyobrażałam sobie, jaką będę mamą, jak nigdy nie ośmielę się uderzyć. Miałam w sobie tyle miłości i tak pragnęłam tę miłość dać. Tę miłość, którą ja chciałam dostać. Tę miłość, która należy się dzieciom. Pragnęłam to dziecko kochać tak, jak nigdy nie byłam kochana. Bardzo szybko znowu byłam w ciąży. Krystian miał rok, kiedy byłam w ciąży po raz drugi. Z tym mężczyzną wzięłam ślub, ale po roku się rozstaliśmy.

Pojechałam do mojej mamy, kiedy Gabriel miał dwa latka, a Krystian cztery. I poznałam Pawła, mojego męża.

Paweł:
Upłynęło kilka miesięcy, kiedy już mieszkaliśmy ze sobą, i właściwe nie było dnia, żeby Ida nie mówiła o swoim ojcu. O tym, jak go straciła, jak wiele on dla niej znaczy i o tych wszystkich swoich snach i o swoim marzeniu, żeby go kiedyś spotkać. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że teraz, w dobie komputerów, nie można kogoś znaleźć. Przecież jej ojciec był popularnym muzykiem w Polsce. Więc usiadłem do komputera i zacząłem szukać. Najpierw przez nazwę jego grupy, ale tam były tylko płyty CD i stare zdjęcia. Nic aktualnego. Zajęło mi to kilka godzin. Ida była z dziećmi. Aż natrafiłem na jakiegoś Andrzeja Krupińskiego w Chicago. Był tam link do jakiegoś kościoła i zdjęcie.

Ida:
Paweł zawołał mnie i zobaczyłam to zdjęcie. Mówił coś, ale jego słowa szły jakby obok mnie, czułam, że już ich nie słyszę, nie słyszę sensu, tak jakbym była w jakimś transie. I widziałam te oczy, oczy mojego taty na tym zdjęciu. Rozpłakałam się. Powiedziałam: „To jest mój ojciec”. Paweł zapytał, czy jestem pewna. Odpowiedziałam: „Tak, to jest mój ojciec. Poznałabym go z daleka”. Mówił, że to nie jest możliwe, że to może nie być on, bo tam jest napisane, że on jest pastorem. Zaczęłam się śmiać i powiedziałam: „To jest on, bo mój tata jest szalony”. I jeszcze bardziej byłam przekonana. Napisałam do niego, że jestem jego córką. „Cześć tato, pamiętasz mnie, ja jestem Ida…”

Andrzej Krupiński:
W pierwszym momencie, nie wiedziałem, o co chodzi, myślałem, że ktoś przedstawia mi jakąś sprawę. I czytam, czytam, czytam. „Trzymam w ręku twoje zdjęcie – siedzę ci na kolanach jako malutka dziewczynka. Nie było w moim życiu takiego dnia, w którym bym nie marzyła, żeby usiąść znowu na twoich kolanach. Czy byłoby możliwe, żebyś mógł mnie tak trzymać, przez minutkę, przez sekundkę… Nieważne, co jest w twoim życiu, czy możesz przez sekundę trzymać mnie znowu na kolanach? To mi wystarczy do końca mojego życia. Będę tym żyć. I to będzie taka siła…” Serce zaczyna coraz bardziej drżeć, przechodzą mnie dreszcze i patrzę na podpis „Twoja córka, Ida”.

Dzwoni telefon. Jej mąż mówi „Pan Krupiński?”. „Tak.” „Niech pan usiądzie, ktoś chce z panem porozmawiać”. Więcej nie było trzeba, wiedziałem! Różnie to mogło przebiegać, mogłem oczekiwać oskarżeń, pretensji, żalów, pytań dlaczego… Otrzymałem od niej tyle miłości, tyle radości. Od nikogo w życiu nie mógłbym się tyle spodziewać. „Nie było takiego dnia, żebym nie myślała o Tobie”. W moim życiu rozpoczął się nowy rozdział.

Ida:
Ten moment wyobrażałam sobie cały czas w samolocie, w ciągu tych trzynastu godzin lotu. Jakie to będzie i jakie to nie będzie, jakie by mogło być i jak by być nie mogło. Strasznie się cieszyłam, bardzo. Płakałam już w samolocie. Nie chciałam płakać, chciałam być w tym momencie dla taty najpiękniejsza, chciałam, żeby on patrzył na najpiękniejszą córeczkę, był ze mnie dumny. Kupiłam sobie – to śmieszne, wiedziałam, że będę dużo płakać – taki tusz do oczu, którego łzy się nie rozmyją. Szukałam go dwa dni, żeby dobrze wyglądać.

Andrzej Krupiński:
Gdyby ktoś filmował to z boku kamerą, zobaczyłby faceta, który w jednej ręce trzyma kwiaty, a drugą ręką drapie się po głowie albo obgryza paznokcie. Pamiętałem ją przecież taką malutką, pięcioletnią dziewczynkę, kiedy ostatni raz była w moim ramionach. Bardzo się kochaliśmy z moją córeczką, to była miłość, którą rzadko się spotyka – chociaż może tylko ja tak myślę, bo może większość rodziców to przeżywa. Ona potrafiła stać ze mną na scenie, oczka już jej się kleiły, ale siedziała na krzesełku albo stała koło mnie i trzymała mnie za spodnie w czasie koncertu. Prawie nigdy się nie rozstawaliśmy, to było coś niesamowitego. Potem bardzo to oboje przeżyliśmy.

Ida:
Krzyczałam na całe lotnisko „Tato, tatusiu". I biegłam do niego, a on biegł do mnie. Objęłam go i dotykałam, musiałam go dotknąć, jego nosa i buzi, tak jakbym sprawdzała, czy to naprawdę on, czy to nie jest jakiś sen. Nie mogłam uwierzyć. To jest ciekawe – cały czas ufasz, a w momencie, kiedy to się staje realne, tak bardzo się boisz, że to nie jest rzeczywiste, że to nie będzie trwać, że po prostu rozpłynie się jak powietrze. I musiałam go trzymać cały czas, i mówiłam mu do ucha „Już więcej cię nie puszczę, nigdy już cię nie puszczę. Trzymaj mnie, nigdy nie pozwól, aby ktoś nas rozdzielił". Zatrzymał się czas. Zatrzymał się ruch na lotnisku, ludzie, niczego więcej nie było w tym momencie, tylko ja i mój tata. Dwadzieścia pięć lat.

Andrzej Krupiński:
To był piękny czas, piękna dziewczyna, nie mogliśmy się sobą nacieszyć.

Ida:
Potem pojechaliśmy do jego domu i zobaczyłam zdjęcia. To było… jak cios w serce. Zapytałam, skąd ma te zdjęcia. Powiedział „Przecież twoja mama do mnie pisała". „Jak to mama pisała? Co ty mówisz? Zawsze, kiedy płakałam i mówiłam, że potrzebuję taty, że potrzebuję z nim porozmawiać, że odnajdę go, ona mówiła, że nie wie, gdzie ty mieszkasz, że gdyby naprawdę wiedziała, to by to zrobiła dla swojej córeczki". Pokazał mi list, w którym było napisane, że jestem bardzo szczęśliwą kobietą…

Andrzej Krupiński:
Napisała, że Ida nic nie wie o przeszłości, że nie wie o moim istnieniu, że została wychowywana w nowym domu, że ma nowego ojca. Że jest bardzo kochana i sama kocha. Że ode mnie zależy, czy wejdę w jej życie w tej chwili, burząc ten cały pokój, tę sielankę, szczęście, powodując jakieś reperkusje psychiczne…

Ida:
…czy on jest takim egoistą, że dla swojej miłości rozbije to, w co ja wierzę, zrobi mi tym krzywdę, spowoduje bałagan w moim życiu.

Andrzej Krupiński:
I się nie odezwałem. Podjąłem decyzję, że nie będę zakłócał jej spokoju. Zamknąłem to głęboko na dnie swojego serca. Żyłem w przekonaniu, że ona jest szczęśliwa, że żyje w takiej… bombce szczęścia.

Ida:
Teraz relacja między mną i moją mamą jest trochę inna. Zapytałam ją o to, co było. Powiedziałam, że wierzę w to, co powiedział tato, że to ona mówiła nieprawdę. Powiedziała: „Tak, masz rację. Było tak, jak mówi twój tata”.

To jest niesamowite, ale zawsze rano muszę powąchać swoje dzieci, one mają taki niezwykły zapach skóry. Te duże już nie, ale muszę dotykać, dawać miłość, nie mogę się nimi nacieszyć… Niesamowite jest też to, jak moja mama się zmienia, zwłaszcza teraz, kiedy urodziła się Ines. Może dlatego, że to dziewczynka, i dlatego, że ona jest podobna do mnie. Za każdym razem, kiedy mama trzyma ją na rękach, płacze, a ja widzę w jej oczach tę świadomość, że jest tak, jak gdyby zaczynała od nowa i nie chciała już więcej być taka, jak kiedyś, nie chciała już tego wszystkiego, tego bałaganu, wszystkich tych błędów. Czasem mi to mówi. Mówi „Ona jest taka, jak ty, a ja ją tak kocham, tak bardzo ją kocham”. I ja widzę, jak ona patrzy na nią, jak jest jej przykro, widzę smutek i ból. I teraz widzę miłość.